

Neokolonializm w mediach

Media nie są żadną czwartą władzą w państwie, tylko pierwszą. Tak jak niedziela, wbrew temu, co od lat wbija ludziom do głowy pewna blond redaktor, nie jest żadnym siódmym dniem tygodnia, tylko pierwszym, najważniejszym. Media kontrolują funkcjonowanie władzy wykonawczej (premier, prezydent), ustawodawczej (sejm, senat) oraz sądowniczej. O ile trzy „tradycyjne” Monteskiuszowskie ośrodki władzy są pośrednio lub bezpośrednio wybieralne i odwoływalne przez obywateli, to właściciele mediów i osób pracujących w mediach nikt z zewnątrz nie wybiera i nikt nie odwołuje. Wybierają i odwołują się sami. Żadna z tych trzech władz nie kontroluje zatem bezpośrednio mediów, które mają pozostać „wolne”. Podlegają jedynie typowej kontroli sądowniczej, na tych samych zasadach co obywatele czy jednostki gospodarcze. Skoro media nie podlegają kontroli instytucjonalnej, skoro widzowie, słuchacze czy czytelnicy nie mają na nie najmniejszego wpływu, to tym samym media nie muszą ponosić jakiegokolwiek odpowiedzialności za swoją działalność w ramach państwa. Ba, media nie chcą się nawet przyznać, że taka odpowiedzialność na nich ciąży, bo uważają, że zajmują się jedynie opisywaniem, udostępnianiem obrazu rzeczywistości, a nie jego kreowaniem. Odpowiedzią na krytykę mediów jest zwykle stwierdzenie, że nikt nie ma obowiązku z nich korzystać, tym bardziej że jest konkurencja. Premier Donald Tusk, wieczny pupil mediów prywatnych włożył niemało wysiłku, aby media publiczne doprowadzić do likwidacji

i sprywatyzowania. Jeszcze się nie udało. Pretekstem było oskarżanie mediów o ich zbyt upolitycznienie, co w państwie, w którym człowiek od żłobka do emerytury jest przedmiotem nieustannej gry politycznej, wydaje się jakimś beznadziejnym żartem. „Polityczność” jest wkomponowana w pracę mediów. Nie ma bardziej politycznych instytucji niż media, gdyż wszystko, czym się zajmują, od żłobka, a nawet od życia prenatalnego, do emerytury i eutanazji jest polityką.

Media wykazują dużą sprawność jeżeli poruszają swoje ulubione tematy. Reporterzy i całkiem poważni dyskutanci dywagują do znudzenia o losie Romana Polańskiego, tymczasem ta akurat historia u przeciętnego słuchacza budzi oburzenie i zażenowanie. A sprawy naprawdę ważne, jak na przykład utrata przez Polskę suwerenności wraz z wejściem w życie Traktatu Lizbońskiego, są przez dyżurnych komentatorów odfajkowywane. Na ten temat nikt nie dywaguje.

Aż ponad tydzień trzeba było czekać, aby w telewizyjnych „Wiadomościach” ukazała się wypowiedź szefa brytyjskich konserwatystów Nigela Farage’a o nowych nabytkach Unii Europejskiej, jak on to ujął: „pigmejach europejskiej polityki”, Hermanie van Rompuy i Catherine Ashton. Ta mocna i prawdziwa ocena nijakich polityków wybranych wbrew podstawowym zasadom demokratycznym nie mogła się jakoś przebić w mediach, gdyż „wolne” media są już dziś europejskie. Ciekawe, jak długo będziemy czekali na wyjaśnienie roli, jaką odegrała pani Ashton jako skarbnik w organizacji CND (Kampanii na rzecz

Nuklearnego Rozbrojenia), która otrzymywała dotacje z rąk Willa Howarda, członka Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii. Tymczasem oskarżenie Ashton o to, że brała pieniądze od organizacji walczącej z zachodnią demokracją i kapitalizmem, powinno być wydarzeniem numer „jeden” w mediach. Ale jak wszystko, co naprawdę ważne jest dla naszej wolności, tak i ta sprawa przejdzie pewnie bez echa. Tak jak bez echa przeszło skandaliczne zachowanie przewodniczącego Parlamentu Europejskiego Jerzego Buzka, który domagał się zakończenia wystąpienia Nigela Farage’a, uważając, że trzeba „temperować nastroje” i że nie wszystkie sformułowania deputowanego Farage’a „mogą być łatwo akceptowalne”. Teraz już wiemy, dla jakich „atutów” został wybrany na szefa parlamentu prof. Jerzy Buzek. W Unii Europejskiej nie ma miejsca na krytykę Unii Europejskiej. I to dopiero faktycznie pachnie komunistycznym sterowaniem.

Z chwilą powstania w dniu 1 grudnia 2009 roku nowego podmiotu prawa międzynarodowego, czyli Unii Europejskiej wydaje się oczywiste, że krytyka tej organizacji spotka się reakcją unijnych prawników. Dlatego żadna poważna krytyka Unii Europejskiej nie zaistnieje w mediach, gdyż nie zaryzykują one stania się stroną w konflikcie z tak potężną nową osobą prawną, jaką jest dziś Unia Europejska.

Dalsza alienacja mediów w krajach Unii Europejskiej nie będzie jednak oznaczała rezygnacji z obrony euronacjonalizmu. I w tym kontekście należy oceniać zamiary polskiego rządu likwidacji

mediów publicznych. Wszystkie kraje „nowej UE”, pod dyktando Brukseli, marginalizują swoje media publiczne. W ich miejsce mają wejść europejskie koncerny medialne. Media publiczne pozostaną jedynie w krajach „starej UE”, tam gdzie rynek mediów jest już ustabilizowany. Polityka neokolonialna wkracza w swój nowy etap.

Wojciech Reszczyński

Nasza Polska 03.12.09